

OBRONA LWOWA

(7 sierpnia 1923 r.)

Nazajutrz po zjeździe legionistów wygłosił Piłsudski dnia 7 sierpnia 1923 r. w sali lwowskiej Rady Miejskiej niżej przytoczony odczyt, w którym wykazał komu należy przypisać zasługę obrony Lwowa, dał wspomnienia, dotyczące tych trudnych warunków, w których Naczelny Wódz musiał w zaraniu niepodległości pracować, i napiętnował postępowanie obozu narodowo-demokratycznego w okresie walk o Lwów.

Odczyt ten podajemy według «Kuriera Lwowskiego» z 9 sierpnia 1923 r. Redakcja tego pisma, mając na sali wykładowej stenografa, najdokładniej odtworzyła tekst przemówienia.

Szanowne panie i panowie!

Historia, wielka mistrzyni życia i wielki sędzia czynów ludzkich, ze specjalnym umiłowaniem wybiera dla swoich studiów okresy przełomów, okresy kryzysów.

Występują bowiem wtedy na jaw z większą wyrazistością, niż w innych epokach, niż w innych czasach, ludzkie czyny, ludzkie słabości i siły ludzkie, cnoty i wady, jednym słowem — pełnia duszy człowieka.

Wszystko to, czego człowiek nieraz się wstydzi i co przy szarzyźnie życia przed najbliższymi ukrywa, to w chwili przełomów i kryzysów pod gorącym oddechem wypadków przejawia się i w całej nagości występuje.

Nigdy nie zapomnę wrażenia, którego doznałem w rozmowie z jednym z najwybitniejszych umysłów obecnego świata, z głową katolickiego świata, Jego Świątobliwości Papieżem Piusem XI.

Był on wtedy skromnym monsignorem, reprezentującym Watykan w Polsce. Jako zawodowy historyk ¹⁾ powiedział mi, że jest wdzięcznym losowi, że rzucił go do Polski w chwili tak przełomowej i krytycznej dla narodu polskiego i że jako historyk obserwować może życie i powstawanie nowych tworów boskich i ludzkich, bezpośrednio, naocznie, gdyż przedtem jedynie z ksiąg mógł uczyć się dziejów chwil przełomowych.

Dla wypadków, któreśmy przeżyli, historia upływa szybko, historia się zbliża, wielki sędzia czynów ludzkich, któ-

¹⁾ Achilles Ratti, późniejszy papież Pius XI, był prof. seminarium w Mediolanie i dyrektorem biblioteki w Mediolanie, potem prefektem biblioteki Watykańskiej; pracował specjalnie nad paleografią łacińską.

rych każdy człowiek ma w dalekiej progeniturze, zbliża się do nas znacznie szybszymi krokami.

Nasza epoka przyciągać będzie oczy znacznie bliższe nam, niż to nieraz nam się wydaje. Sędziów znajdziemy w naszych dzieciach, dzieci nasze, te dorastające obecnie małe główki, które ciekawymi oczkami już teraz na nas spoglądają, nieraz będą z trwogą szukać w stronicach historii, gdzie byli ich rodzice.

Obrona Lwowa w życiu powstającego państwa polskiego w przełomowym okresie naszego istnienia odegrała zbyt znaczną i wielką rolę, by jakikolwiek historyk tej właśnie części naszych działań i naszego życia nie musiał poświęcić specjalnej uwagi. W obronie Lwowa ześrodkowało się w swoim czasie «gros» wysiłków całej Polski. Jeżeli ją weźmiemy pod względem wojskowym, to cztery piąte sił, tworzonych z takim wysiłkiem, zebrało się nie gdzie indziej, jak na placach boju koło Lwowa, zostawiając zaledwie małą cząstkę gdzie indziej, a wysiłki wojskowe w owym czasie tworzenia siły ramienia zajmowały również «gros» wysiłków całego społeczeństwa. Jeżeli weźmiemy życie polityczne państwa świeżo tworzącego się ze wszystkimi próbami i niedogodnościami każdego życia politycznego, to również znajdziemy, że ono przez dłuższy czas ześrodkowało się nie koło czego innego, jak koło wypadków, dziejących się koło waszego miasta. Ja osobiście, ze wszystkimi swoimi wadami i cnotami, całą swą mocą czy bezsilnością stałem w centrum zjawisk polskich, «magna pars fui»¹⁾ wszystkiego tego, co się w Polsce działo. Dlatego też z chwilą, gdy się zdecydowałem stanąć spokojnie przed sądem nie waszym, lecz historii, stanąć spokojnie ze swoją czynnością i swoimi pracami przed oczyma tych, do których mnie najwięcej ciągnie, przed oczyma dorastających dzieci, które nieraz sobie o tym mówić będą, chcę dać jedynie stwierdzone fakty, chcę dać jedynie dane, związane ze mną, jako z człowiekiem, który był Naczelnym Wodzem wojsk polskich i Naczelnikiem Państwa. Nie idzie mi o analizę poszczególnych wypadków, nie idzie mi o techniczne określenie sposobów i wartości poszczególnych działów obrony Lwowa, gdyż w nich bezpośrednio sam nie brałem udziału i musiałyby to zresztą stanowić inny dział pracy, do którego panowie i panie, jako audytorium, niezbyt się nadają.

Jak państwu wiadomo, z końcem r. 1918 znajdowałem się w mieście Magdeburgu, w cytadeli. Byłem od polskiego życia rozmyślnie najzupełniej izolowany. Życie polskie biegło hen,

¹⁾ brałem wielki udział.

gdzieś daleko, nie dając mi żadnych danych o sobie. Izolacja ta była doprowadzona do tego stopnia, że do mnie wiadomości o świecie zewnętrznym dochodziły jedynie z gazety codziennej, wychodzącej w Magdeburgu — «Magdeburgerzeitung». Z niej tylko mogłem czerpać dane i wiadomości o mojej ojczyźnie. Z tych danych, względnie ubogich, przed przyjazdem 11-go listopada ¹⁾ do Warszawy, zostało mi w pamięci jako drogowskazy, jako dane, z którymi do Polski jechałem, kilka zaledwie dziwnych rzeczy. Pierwszą wiadomością był wetknięty mi w ręce na parę tygodni przed uwolnieniem, czy to przez sympatię, czy to przez złośliwość podoficera, tygodnik niemiecki, w którym znalazłem ku memu wielkiemu zdziwieniu mój portret z podpisem: «minister spraw wojskowych Polski». Z krótkiej przy tym notatki widziałem, że chodzi o jakiś gabinet Świerzyńskiego, o którym pierwszy raz słyszałem, że mógł istnieć w Polsce. Byłem w nim jakoby ministrem spraw wojskowych ²⁾, który siedział w Magdeburgu. Pamiętam, jak śmieliśmy się z moim kolegą w więzieniu, gen. Sosnkowskim, jak kpiliśmy, jako z symbolu Polski, iż minister spraw wojskowych tego kraju jest nie gdzie indziej, jak w więzieniu.

Drugi fakt, który doszedł do moich uszu, dotyczył tzw. zaboru austriackiego. Mianowicie — w piśmie, napadającym ustawicznie na słabość sojusznika, na Austrię, był patent cesarza Karola ³⁾, nadający nagle wielkie prawa ludności i rzucający do «swoich wiernych krajów i narodów» wezwanie, by same się zajęły swoim losem, dzieląc, że tak powiem, dawną Austrię według krajów, według narodów, nie dając im zresztą określonych zadań, dzieląc raczej mienie i dobro pomiędzy te narody. Pomędzy tymi narodami byli też Polacy. Bodaj że jeszcze kilka drobnych faktów doszło do mnie, z których mogłem sobie wyrobić obraz o Polsce, a który został mi w głowie, gdy m pospiesznym pociągami, zwolniony wreszcie przez Niemców, jechał do Warszawy.

Przyjechałem do Warszawy 11-go listopada, tzn. w związku z wypadkami lwowskimi w dziesięć dni po rozpoczęciu we Lwowie starć czy bojów.

Historia zatem tych dziesięciu dni wraz z wszystkimi perypetiami nie należy w żadnym wypadku do mnie i w żadnym

¹⁾ Piłsudski przyjechał do Warszawy 10 listopada 1918 r.

²⁾ W gabinecie Świerzyńskiego, mianowanym przez Radę Regencyjną w dniu 23 października 1918 r., tekę Ministra Spraw Wojskowych zastrzeżono dla Piłsudskiego.

³⁾ Mowa o patencie cesarza Karola z dnia 16 października 1918 r. Patent ten mówił o chęci przeobrażenia Austrii na państwo związkowe.

związku ze mną nie była. Jeżeli piękne lwowianki i równie zacni lwowianie przypuszczają, że w Warszawie, gdy tam przyjechał, słowo padło kiedykolwiek o Lwowie, to grubo się myślą. Ja przeprowadziłem w pierwszych kilku dniach co najmniej tysiąc rozmów z ludźmi z najrozmaitszych stronnictw, z ludźmi najrozmaitszych autoramentów i nie przypominam sobie jednak ani jednej rozmowy, w której mówionoby mi o Lwowie. Mówiono o najrozmaitszych rzeczach, podawano mi tyle recept na zbawienie Polski, z ilu ludźmi rozmawiałem, lecz o Lwowie — nie mówiono.

Żyto w owym czasie innymi wrażeniami, wrażeniami ciężaru życia i niepewności w samej Warszawie i w ówczesnym zaborze rosyjskim, w Królestwie. Niemiec był jeszcze na miejscu. Żołnierz niemiecki chodził jeszcze po ulicach Warszawy. Dokoła działo się coś nadzwyczajnego, o czym nikt ściśle nie wiedział, lecz trwożył się przed niepewnym jutrem. Setki tysięcy bezrobotnych, których Warszawa w owym czasie miała, o ile mi się zdaje, zajmowało znacznie więcej umysłu i trosk w sercach, niż jakiegokolwiek rzeczy, które się działy gdzie indziej.

Minęło w ten sposób dla mnie kilka dni, w czasie których główną moją pracą było nie zajmowanie się Lwowem, lecz uregulowanie w jakiś sposób swego osobistego stosunku do zjawisk, których nie zbadałem dotąd, do których nie byłem przygotowany i które wielkim, olbrzymim pochodem tłoczyły się na mnie, żądając ode mnie ustosunkowania się do nich. Z tej masy i powodzi faktów, z tej masy i powodzi recept, z tych wielkich hałasów na ulicach, które wówczas w Warszawie się działy, doszły do mnie bardzo niejasne i niewyraźne dane i o dawnym zaborze austriackim. Dowiedziałem się więc, że w Krakowie urzęduje Komisja Likwidacyjna¹⁾, rządząca i czyniąca na podstawie patentu cesarza Karola. Dowiedziałem się również, że w tej Komisji Likwidacyjnej są reprezentowane wszystkie stronnictwa, jakie istniały zgodnie z moimi poprzednimi wiadomościami w tzw. Królestwie Galicji i Lodomerii. Dowiedziałem się, że dowodzi tam wojskiem mój dobry znajomy, gen. Roja, a w Lublinie mój dobry znajomy i podwładny, gen. Śmigły, tak, jak w Warszawie dowodzi mniej dobry mój znajomy, gen. Rozwadowski.

Pierwszym moim dążeniem było zespolić to, co jest siłą. Czułem, że jeżeli rzeczy dalej pójdą w tak rozbieżnym kie-

¹⁾ Komisję Likwidacyjną postanowiło utworzyć zgromadzenie posłów polskich do b. parlamentu austriackiego, które odbyło się w Krakowie dnia 28 października 1918 r.

runku, to to, co stanowi siłę i moc, wobec zbliżającej się do Polski nieznannej jeszcze fali niebezpieczeństw nie zostanie wytworzone. Korzystałem więc z każdej okazji, żeby siły wojskowe skupić w jednym ręku, a wobec dziwnej mojej zarozumiałości wołałem, żeby one skupiły się w moim ręku. Ta rzecz mnie się udawała, udawała względnie lepiej, niż wszystkie inne cywilne prace, gdyż pod tym względem spotkałem zbyt silne tarcia i zbyt wielkie przeszkody w roznamiętnionych, lecz chaotycznie usposobionych umysłach, z którymi musiałem się stykać. Starałem się więc zebrać wszystkie dane o stanie wojska i stanie siły w całej Polsce. W tym też czasie przybiegały do mnie najrozmaitsze wiadomości o stanie Lwowa.

Jestem człowiekiem, który przyzwyczajony był zawsze do pewnej pogardy w stosunku do plotek, specjalnie do plotek wojskowych. Szczególną zaś niechęć czułem zawsze do przedstawiania spraw wojskowych w sposób demagogiczny, w sposób, który uniemożliwia najlepszemu żołnierzowi zorientować się, ile w tym jest kłamstwa rozmyślnego lub bezwiednego, a ile w tym prawdy. Dlatego też szukałem od razu za człowiekiem, któremu mógłbym zaufać. Dowiedziałem się, że od pierwszej prawie chwili walk lwowskich szefem sztabu obrony jest jeden z moich oficerów, mianowicie — zmarły obecnie Łapiński¹⁾. Starałem się z nim nawiązać stosunki, gdyż byłem przekonany, że on wobec swego starego Komendanta ani demagogii, ani plotek uprawiać nie będzie. Starałem się ściśle zbadać stan rzeczy. Niestety, dobrego wniosku z tych wiadomości wysnuć nie mogłem. Około 20-go listopada (ściśle daty ustalić nie mogę) przyleciał wreszcie lotnik Stec²⁾, który mi w imieniu tegoż Łapińskiego zdał sprawę z tego, jak jest we Lwowie. Powtarzam prawie dosłownie jego raport: «Mniejsza część miasta jest w rękach polskich, a większa część w rękach ruskich. Boje nie są ciężkie, ogromna część społeczeństwa polskiego (wymienił mi różne nazwiska) pertraktują z Rusinami o coś w rodzaju condominium nad Lwowem³⁾, nie wierząc w możliwą obronę i posiadanie miasta w całości. Obrona polega na nie-

¹⁾ Stanisław Łapiński, pseudonim Nilski, oficer I Brygady, szef sztabu załogi Lwowa od 1 do 25 listopada 1918 r, późniejszy ppłk. Sztabu Generalnego, zmarły 16 lutego 1922 r.

²⁾ Mowa o por. Stefanie Stecu, który według pracy Stan. Rutkowskiego «Odsiecz Lwowa» (ogłoszonej pierwotnie w «Bellonie») był przyjeździe na audiencji przez Piłsudskiego dnia 12 listopada 1918 r.

³⁾ Mowa o pertraktacjach prowadzonych przez t. zw. Polski Komitet Narodowy, ciało złożone z reprezentantów stronnictw polskich we Lwowie.

wielkiej garstce legionistów, na większej znacznie ilości młodzieży, bardzo nieraz młodej, z trudem wytrzymującej ciężary. Obok niej jest prawie to samo, co w Warszawie, — tłum ludzi, chodzących i krzyczących, rozprawiających i zmieniających co chwila zdanie, plotkujących o najrozmaitszych rzeczach, a co niechybnie na siłę obronną nie wpływało korzystnie». Wreszcie powiedział mi, że teraz leci z powrotem do Lwowa, lecz osobiście jest tak mało przekonany o możliwości obrony, że nie jest pewny, czy będzie mógł już wylądować we Lwowie i nie wie, czy lotnisko, z którego wyleciał, będzie jeszcze w posiadaniu polskim, czy też już w ruskim. Stan opisał mi dość rozpaczliwie. Rozpatrzyłem te dane i razem zresztą z Łapińskim, który mi przez niego przesłał swoje dane, przyszedłem do przekonania jedynie rozsądnego, że bez dania z zewnątrz pomocy sprawa dla Lwowa jest przegrana. Zastanowiwszy się nad moim własnym stanem, powiedziałem, że ja tej pomocy dać nie mogę, że gdybym nie wiem co robił, to ze siebie tej pomocy nie wydobędę i żadnego terminu postawić nie jestem w stanie, że jest zatem jako wynik jedyny — czas. Wytrzymacie dłużej — prawdopodobnie zdążę, nie wytrzymacie dłużej — nie będę w stanie tego zrobić.

Lubię prawdzie patrzeć prosto w oczy. Stan bowiem ówczesny, który miałem, polegał na następującym: Niemcy szczęśliwie dawali się rozbrajać; dość dużo najrozmaitszej broni i dość dużo najrozmaitszych zapasów i ubrań dostawało się w polskie ręce; mnóstwo obiektów wojskowych o wielkim znaczeniu wpadało zupełnie łatwo w nasze ręce, a niezwykle «patriotyczna» i podniecona ludność starannie to rozkradała. Miałem, proszę państwa, koszary, które trzy razy w ciągu wojny poprawiałem i które trzy razy do ostatniego mebla przez ludność okoliczną były rozkradane. Musiałem więc, jako dobry gospodarz, z obowiązku chociaż jaką taką straż postawić, żeby zapobiec, aby to dobro, w które może będzie jutro trzeba uzbroić i wyekwipować ludzi, by ono zostało zachowane. Zwyczajem bowiem polskim rozkradano tę broń dla uzbrojenia prywatnego wojska, które wyrastało, jak grzyby po deszczu. Każde nieledwie stronnictwo, mające pewne recepty na uratowanie Polski, tworzyło swoje prywatne wojsko i zupełnie swobodnie sięgało do składów wojskowych, o ile te nie były pilnowane, dla uzbrojenia ludzi, nieraz grożąc mi, gdy byłem jeszcze na ulicy Mokotowskiej ¹⁾, że ta broń będzie przeciw mnie użyta.

¹⁾ Piłsudski w drugiej połowie listopada 1918 r. mieszkał na ul. Mokotowskiej nr 50.

W tej sytuacji, zmierzwszy swoje możliwości, powiedziałem temu oficerowi: «Leć, człowieku, z powrotem i staraj się trafić do Krakowa. Tam życie spokojnie idzie, może Kraków będzie mógł dać jakąś pomoc. Ja w czasie nieokreślonym, bo nie mam możliwości określić czasu, przystępuję do organizacji wojska i ruszam — lecz kiedy, nie potrafię tego powiedzieć». Czy piękne lwowianki i zacni lwowianie za grzech to będą mi poczytywać, czy dzieci nawet moje własne w sądzie swoim za grzech i za błąd mój będą mi to poczytywały, nie wiem. Stwierdzam fakty tak, jak one były. O Galicji zachodniej por. Stec dawał mi złe dane. Na moje żądanie, aby stamtąd wyciągnął pomoc, dał mi krótki opis tego, co widział i co słyszał sam. Przychodziły, co prawda, uzbrojone jednostki z frontów najrozmaitszych do takiego czy innego miasta galicyjskiego. Opowiadał mi między innymi o pięknym porządku, w jakim pułk, formowany dawniej w Jarosławiu, przyszedł do tego miasta. Żołnierze jednak broń w kozły składali i szli do domów, zostawiając broń, w kozły złożoną, na placu. Czy oni będą mogli być zebrani i gdziekolwiek rzuceni, o tym ten porucznik, który przez Galicję przejechał i o tym lub o owym słyszał, wątpił. Mówił, co prawda, że wyprzedzili organizację, jak zwykle, legioniści, że pułk 5-ty w Przemyślu, a 4-ty pułk Legionów w Krakowie reprezentują jakąś wartość siły. Bo jest to i zebrane i, zdaje się, gotowe mogłoby być do wymarszu. Lecz również i tam jest ta sama kwestia, jaką miałem w Warszawie, tzn. mnóstwo obiektów wojskowych, których trzeba pilnować. Opowiadał mi, że na wartach stoją w wielu miejscach oficerowie — rzecz dość niezwykła — dlatego, że żołnierzy nie ma, bo żołnierze po powrocie wracają natychmiast do domów. No, powiedziałem mu — ja tam nie dowodzę, nie potrafię tego zarządzić, jedźcie, zatrzymajcie się w Krakowie i powtórzcie mój rozkaz Roji, aby iść na pomoc ¹⁾.

¹⁾ Dnia 12 listopada 1918 r. Piłsudski wysłał do gen. Roji następujący rozkaz:

Rozkazuję Wam niniejszym, co następuje:

1. Kampanię rozpoczętą przez Was na Spiszu przerwać, użyte w tym celu oddziały wycofać z powrotem do Galicji poza linię, obowiązującą przed wojną jako linia graniczna między Galicją a Węgrami.

2. Ilość wojsk, stacjonowanych w Nowym Sączu, obniżyć do możliwych granic, oddziały jednak, znajdujące się w stadium organizowania się, mogą pozostać na miejscu.

3. Zaoszczędzonych na podstawie punktów 1 i 2 sił — użyć:

a. do wzmocnienia załóg i obsady wojskowej na Śląsku Cieszyńskim,

b. do wzmocnienia ekspedycji wschodnio-galicyskiej.

Piłsudski.

Proszę panów, z wielką ulgą dowiedziałem się względnie prędko, że 5-ty pułk Legionów, stojący w Przemyślu, na wieść o tym, że Lwów jest bardzo zagrożony i że traci nadzieję utrzymania się, bez rozkazu gen. Roji pod dowództwem ppłk. Tokarzewskiego ruszył naprzód na ratunek.

Dziełem więc 5-go pułku było to, że Lwów pozostał w rękach polskich.

Zrobił to 5-ty pułk Legionów, ppłk. Tokarzewski wbrew zdaniu swych przełożonych, gdyż i Przemyśl był również niepewny, również w Przemyślu drżano o utratę tego miasta — i wszelkimi siłami starano się mieć go koło siebie. Decyzja ppłk. Tokarzewskiego, który poszedł wbrew swym przełożonym dla was, Lwowa, fakt ten, powtarzam, oswobodził mnie od wielu trosk. W pierwszej chwili nie miałem wyobrażenia, jakie siły są nieprzyjacielskie. Tutaj tych sił mierzyć czymkolwiek nie byłem w stanie. Wiadomości były zanadto sprzeczne, były zanadto niedokładne, abym sobie mógł właściwie wyobrazić, co to jest ten front lwowski, co to jest ta walka we Lwowie. Z jednej strony układy, prowadzone przez ludzi wszystkich stronnictw, z drugiej strony garść ludzi walczących, tak, że nie mogłem nawet wiedzieć, czy nie walczą oni przeciw układającym się i czy tam wewnątrz nie ma jakichś dzikich pomiędzy sobą sporów. Z drugiej strony doszły mi wieści, że po dotarciu do Lwowa 5-ty pułk Legionów świadomie poszedł dalej naprzód. Wiecie państwo — nabiera się złego przeświadczenia o nieprzyjacielu, który tak łatwo Lwów opuścił¹⁾. Ale nieprzyjaciel okazał się silniejszy. Lwów został na nowo zagrożony. Proszę państwa, przystępuję do analizy faktycznej, kto był dalszym obrońcą Lwowa.

W swej pracy organizacyjnej jako Naczelnny Wódz zrobiłem krok błędny czy niebłędny, nakazując jako pierwszy krok przy organizacji wojska mobilizację Polskiej Organizacji Wojskowej²⁾ — zwołać żołnierzy pod broń nie sposobem poborowym, lecz sposobem ochotniczym. Motywy, które mnie skłoniły do tego kroku, były następujące: Niezwykle ubóstwo materialne, z którym spotkałem się przy pierwszym kroku, t. zn., że żołnierze, przychodząc do koszar, nie znajdowali tam ani siennika, ani poduszki, ani słomy, ani kołdry, ani ubrania, ani butów. Pamiętam, w tych czasach zwiedziłem obecny 36-ty pułk, który tu walczył także pod Lwowem i który miał tradycje specjalne jako pułk, powstały z legionu akademickiego, tzn.,

1) W nocy z dnia 21 na 22 listopada 1918 r.

2) Por. t. V, str. 30—33.

że mnóstwo młodzieży inteligentnej, mnóstwo akademików w zapale wojennym dla służby, dla ojczyzny do tego pułku się zapisywali. Poszedłem rozmyślnie zwiedzić koszary, aby zobaczyć — jak ten pułk żyje. Znalazłem to, co powiedziałem. Nie mieli chłopcy koców, nie mieli chłopcy ubrania wojskowego, broń, co prawda, się ściągało, ale w niewielkiej ilości. Nie mieli butów, ale za to chodzili w lakierkach, a więc w obuwiu bardzo eleganckim, ale bardzo mało nadającym się do służby wojskowej, z lekkomyślnością młodzieńczą sądząc, że to nic nie szkodzi. Osobiście nie chciałem ich wyprowadzać z tego błędnego pojmowania, albowiem wolałem pozostawić ich w lakierkach, niż starać się ich zniechęcać, zaczynać im opisywać grozę ich położenia, tzn. niepotrzebnie ich przerażać. Sądziłem, że ochotnicy staną do pracy i znosić będą biedę materialną znacznie łatwiej, niż żołnierz poborowy, żołnierz, który z musu przychodzi, który przychodzi na żądanie państwa i pragnie także możliwości życia, której dać mu nie było można. W ten mniej więcej sposób formowały się bataliony po różnych kątach Polski, niedostatecznie zaopatrzone, ba — z niedostatecznym uzbrojeniem. Broń zbierano z różnych kątów, rzucano ją w nieporządku. Brak amunicji w wojskowym tego słowa znaczeniu wyrastał z każdego kąta.

Ochotnicy zbierali się chętnie i niepodobna było nie brać ochotnika, który miał zapał i chęć zostania żołnierzem. Żołnierze z poboru to ludzie, którzy w bardzo wielkiej ilości z pełną podejrzliwością patrzyli na stałość państwa polskiego, w oczach których Polska jeszcze nie wytrzymała próby życia. Zauważyłem, że już wtedy szalała pomiędzy ludźmi olbrzymia namiętność polityczna ze stałymi oskarżeniami o zdradę i najrozmaitsze podłe rzeczy, bałem się pociągać masy ludzi, tym bardziej, że nie wiedziałem, jak ich uzbroić. Zatrzymałem się więc na powołaniu ochotników i nakazałem najbardziej gotowej organizacji — Polskiej Organizacji Wojskowej — postawić pod broń wszystkich swoich zwolenników i pociągnąć do swych szeregów możliwie najszersze koła młodzieży, która by zgodziła się w tych złych i trudnych warunkach stanąć na służbie Polski, jako żołnierze. Ta mobilizacja peowiacka dała do 50.000 żołnierzy, tak, że początek armii polskiej i początek jej organizacji opiera się nie na czym innym, jak właśnie na Polskiej Organizacji Wojskowej i jej zwolennikach. Takie to bataliony formowałem i, naprędce zorganizowawszy, pchałem je na Lwów.

Był to, moi panowie, okres czasu, nie bardzo nadający się do wygody ludzkiej, do wygody życia w polu. W zimie, jak

panowie wiecie, są takie chłody, panują nieznosne wiatry, a śnieg albo deszcz moczy i nęka żołnierzy niesłychanie.

Obok tego te wpływy atmosferyczne miały także dziwną skłonność do niszczenia ubrania i niszczenia obuwia, tak, że w czasie zimy ubranie żołnierskie, obuwie żołnierskie niszczyło się dziesięć razy szybciej, niż w czasie lata. W tych warunkach rzucałem batalion za batalionem lub chociażby kompanie ledwie sformowane, by w ten sposób napęłnić ten wiecznie głodny worek, jakim wówczas był dla mnie front lwowski. Pamiętam te skargi wszystkich oficerów, którzy mi twierdzili, że takich żołnierzy do boju wyprowadzać nie wolno, pamiętam te skargi, gdy komendant batalionu, mającego natychmiast wyruszyć w pole, z rozpaczą w sercu opowiadał, że nie wszyscy ludzie jego mają buty. Pamiętam raporty, grożące mi ze strony władz wojskowych, że popełniam jakieś wariackie czyny, posyłając w ten sposób ludzi do boju, i pamiętam depezę za depezą, przychodzące z pod Lwowa, żądające pomocy i jeszcze raz pomocy. W tej walce wewnętrznej, którą odbywałem, pamiętam dwa czynniki — czynnik rozsądku, który mi mówił, że nieraz moi podwładni wojskowi mają rację, żądając czasu i pamiętam depeze, które gen. Rozwadowski ¹⁾ po kilka razy dziennie przysyłał, żądając pomocy i pomocy. W tej ustawicznej walce pomiędzy sobą żyłem długo, bardzo długo.

Żołnierze, walczący pod Lwowem, złożeni byli z trzech elementów: 1) żołnierz ochotniczy, którego dał Lwów, a który był najmniejszy liczebnie, 2) większy liczebnie dlatego, że z większej części kraju ściągnięty, to chłopcy ochotnicy, którzy zgłosili się z zachodniej Galicji, i wreszcie — 3) olbrzymie «gros», które tworzyły bataliony i kompanie w Królestwie z peowiaków.

Walka, która się tu odbywała pod Lwowem, odznaczała się charakterem niezwykle dziwnym pod względem pracy wojskowej. Nieraz w Belwederze zachodziłem w głowę, jak właściwie takie dziwactwa mogły się w ogóle utrzymać. Na moje pytania gen. Rozwadowski dawał mi różne wyjaśnienia, mimo to nie mogłem pozbyć się wątpliwości, które ciągle mi siedziały w głowie. To, co się działo, było zbyt nadzwyczajne i dlatego postanowiłem pojechać na miejsce, by stwierdzić stan rzeczy własnymi oczyma. Przyjechałem na front lwowski ²⁾ z Przemyśla pociągiem pancernym, inaczej bowiem nie chciano mię wysłać. Przybyłem do Lwowa i obszedłem różne części

¹⁾ Gen. Tadeusz Rozwadowski dowodził całością sił polskich, operujących w Małopolsce Wschodniej od 24 listopada 1918.

²⁾ Piłsudski był we Lwowie dnia 22 grudnia 1918 r.

frontu. Obserwowałem miasto, obserwowałem życie wojskowe, rozmawiałem z dowódcami, widziałem pracę i — wyznając państwu — wróciłem mocno uspokojony. To, co wydawało mi się przedtem dziwacznym, okazało się naturalnym, co wydawało mi się naturalnym — okazało się dziwacznym. Organizacja wojska wydała mi się jakąś niesłychaną pstrokacizną, niemożliwą do dowodzenia, i żądałem od gen. Rozwadowskiego, tak, jak i od później wyznaczonego gen. Iwaszkiewicza¹⁾, zreorganizowania tego tłumu bez organizacji, za który uważałem ówczesne wojsko, zebrane pod Lwowem. Mnóstwo drobnych oddziałów, rozbitych na kompanie, na grupy, podgrupy najrozmaitsze, ich ułożenie było tak trudne i skomplikowane, iż przypominam sobie, że mniej więcej półtorej godziny spędziłem z gen. Rozwadowskim i jego szefem sztabu dla wytłumaczenia mi prostych rzeczy, a które technicznie w wojsku nazywamy «ordre de bataille». Natomiast przegląd wojsk, walczących pod Lwowem, uspokoił mię pod jednym względem: to, co mi się wydawało trudne, to ludzie łatwo wykonywali.

Stało tu wojsko tak źle ubrane, wojsko tak lichy wyekwirowane, wojsko tak źle zaopatrzone, stojące na samej peryferii wielkiego miasta i broniące się na 60-kilometrowej przestrzeni, na froncie, gdzie się ludzie nieledwie plecami o siebie opierali. Było to takie sprzeczne z wszelką strategią, że zdawało się niemożliwe, by ludzie ci mogli długo się utrzymać. Jeżeli zdołali, to właśnie dzięki wartości moralnej. Żołnierz na tym przedmurzu naszej Polski, którym jest Lwów, gdzie wszystkie wiatry ze wszystkich kierunków dają sobie «rendez vous», gdzie zatem jest względnie trudno wytrzymać nawet dobrze ubranemu człowiekowi, ów wytrzymał nieraz pół nago, nieraz boso, nieraz głodny, gdyż aprowizacji dostatecznej dać nie było można. Wszędzie, gdzie byłem, widziałem ducha i pewność, że się utrzyma. Kampania lwowska należała, zdaniem moim, do najcięższych rzeczy, które żołnierze wytrzymali. Nie dziwię się wcale wrażeniu cudzoziemców, którzy potem ze łzami w oczach opowiadali mi o bohaterstwie żołnierza naszego, który w takich warunkach pracować jest w stanie. Mówili mi, że jeżeli kiedykolwiek wątpili o prawach Polski do Lwowa, to widok żołnierza polskiego, który w tych warunkach w tym piekle życiowym, w którym żaden inny żołnierz dwa tygodnie przetrwałby nie potrafił, to widok tych żołnierzy, którzy z zapalem

¹⁾ Gen. Wacław Iwaszkiewicz od dnia 11 marca 1919 r. dowodził siłami polskimi w Małopolsce Wschodniej.

bronili tego miasta, był dostatecznym motywem, aby przyznać go Polsce.

Powtarzam, wojsko pod Lwowem składało się z trzech części: z ochotników lwowskich, liczebnie najmniejszej części, z liczniejszych od nich ochotników z zachodniej Galicji i z najbliższych okolic i peowiaków, ściągniętych przeze mnie w drodze mobilizacyjnej pod broń, a którzy stanowili najliczebniejszą część wojska, broniącego Lwowa.

Przechodzę, moi państwo, do strony moralnej obrony Lwowa. Jest faktem niezaprzeczonym, że zapał i chęć obrony zagrożonego miasta w całej Polsce była bardzo wielka. To dodawało zapału, dodawało wytrwania żołnierzowi w ich ciężkich materialnie warunkach. Moralne znaczenie miało i zachowanie się samego Lwowa. Jestem starym żołnierzem, który wiele rzeczy jako żołnierz widział. Dlatego też, przyglądając się Lwowowi w czasie swego pobytu, miałem, przyznam się, w pierwszej chwili niechęć do przeceniania znaczenia wojny pod Lwowem. Wojna tu oddechem swoim nie niszczyła. Nie płonęły tu pod gorącym oddechem wojny, tak, jak gdzie indziej, tysiącletnie wieże kościelne, jak żdźbła słomy, pod naciskiem wybuchów, nie waliły się wieże, kamienice i wasze mieszkania, pod gorącym i zatrutym oddechem wojny liście waszych parków nie opadały zatrute, tak, jak to było gdzie indziej. Pod gorącym oddechem wojny nie zamierało życie całe tak, jak to było gdzie indziej. Oddech wojny mnie, żołnierzowi, wydawał się łagodny. Działał on jednak na miasto, tylko inaczej. Miasto o stukilkudziesięciu tysiącach mieszkańców ma swoje konieczne potrzeby. Te potrzeby odcinała wam wojna. Woda, asenizacja, aprowizacja — te przekleństwa życia w wojnie, działały na miasto, robiąc powoli, lecz skutecznie zgubę miasta, zgubę jej mieszkańców. Siłę tego działania czuć było w mieście, czuć ją było przez zmysł powonienia, czuć ją było na białych twarzach dzieci, na zmęczonych twarzach kobiet i mężczyzn, na żniwie śmierci, która chodziła po mieście, biorąc i chwytając drogę każdemu człowiekowi osoby. To zatrucie powolnym oddechem wojny, bez całej grozy wojny, bez tego całopalenia miasta w jednym wybuchu, było może dla mieszkańców silniejszą próbą, niż ten silny oddech wojny, który w jednej chwili niszczy tysiąc lat kultury i budowy i który człowiekowi żadnej nadziei w jednej chwili nie pozostawia. Tu codziennie trzeba było walczyć o nadzieję, codziennie walczyć o siłę wytrwania. Wojsko, rozrzucone na samym brzegu miasta, tramwajem jeździło do okopów, wracając tramwajem z placówki do kawiarni, mieszając się z ludnością. Lud-

ność stawała się wojskiem, wojsko stawało się ludnością. Żaden wpływ dowódców nie mógł być tak silny, jak to codzienne przenikanie wojska do ludności i ludności do wojska. Istniała codzienna zależność żołnierza od ludności, codzienna zależność ludności od dobrego lub złego humoru swego obrońcy. A trwało to tak miesiącami. I kiedy ja, jako sędzia wojskowy, dający nagrody, odznaczający ludzi, myślał i prze-myślał nad kampanią pod Lwowem, to wielkie zasługi waszego miasta ocenilem tak, jak gdybym miał jednego zbiorowego żołnierza, dobrego żołnierza i ozdobiłem Lwów krzyżem orderu «Virtuti Militari» ¹⁾, tak, że wy jesteście jedynym miastem w Polsce, które z mojej ręki, jako Naczelnego Wodza, za pracę wojenną, za wytrzymałość otrzymało ten order.

Lecz, moi panowie i panie, były w czasie walk o Lwów, przy najmniej dla mnie, a sędzę i dla innych, duże moralne przeszkody i muszę się przyznać, jak przyznałem się z początku do błędu, że razu pewnego w Belwederze, gdy z codziennym rannym raportem wchodził do mnie adiutant, by mi zameldować o audiencjach powszechnych, znalazł mnie w niebywalej dotąd postawie. Przy boku leżał pistolet i powiedziałem adiutantowi, patrząc mu w oczy i grożąc, słowa: «Lwów, a strzelam!» Adiutant przerażony wyszedł i skreślił wszystkie audiencje w sprawie Lwowa. Przyznaję się do tego faktu. Tysiąc trąb jerychońskich brzmiało wówczas po całej Polsce, ziało oddechem niechęci i nienawiści, nie przeciw Rusinom, ale przeciw mnie, nie przeciw tym, którzy Lwów chcieli zabrać, lecz przeciw temu, kto obroną Lwowa kierował. Tysiące trąb jerychońskich burzyło mury nie wroga, bo tam się «koń śmiał» z tych trąb jerychońskich, lecz moją duszę, Naczelnego Wodza, który miał cztery piąte swych sił nie gdzie indziej, jak pod Lwowem. Trąby jerychońsko-narodowe grzmiały oskarżeniem o zdradę wszelką, syczały, jak płaz pełzający, by wzbudzić w obrońcach Lwowa bezsilność, gdyż mieli oni nie wierzyć swemu dowódcy, gdyż mieli oni mieć wątpliwość w stosunku do jego zamiarów, mieć wątpliwość w stosunku do jego rozkazów.

«Cui bono» tak się robi? Dla kogo tak się pracuje? Dla Polski? Nie wierzę! Trąby jerychońskie, wysyłające do mnie piętnaście delegacji codziennie, z krzykiem szantażujące z moich ust słowa poddania się, szantażyści, nie znający siły, szantażyści, ośmielający się patrzeć tam, gdzie ich oko nie sięga! Trąby jerychońskie brzmiały wówczas rozgłośnym echem, tworząc legendy, powtarzane i dotąd, tworząc fałsze

¹⁾ Por. t. V, str. 178—179.

historii w stosunku do istotnych obrońców Lwowa, w stosunku do 5 pułku Legionów, od którego działań datuje się chwila, gdy Lwów jest polskim, w stosunku do ogromnej liczby obrońców Lwowa, co, służąc poprzednio w P. O. W., tu przed murami miasta śmierć, kalectwo lub brak zdrowia na całe życie wynosili. Trąby jerychońskie, brzmiące wymysłami o zdradzie Naczelnego Wodza, trąby jerychońsko-narodowe, które tu o «condominium» gadały z Rusinami, bojąc się stanąć oko w oko z wrogiem, które psuły powietrze belwederskie swoją obecnością! Przychodzą ci panowie, którzy zawsze od kuli uciekali, przychodzą panowie ci z krytyką w stosunku do dowódców wojskowych. Panowie ci ośmielili się podnosić głos, mówiąc, że taki a taki generał dwa bataliony tam lub gdzie indziej posłał i że z tego powodu Lwów upadnie. Mogę wymienić nazwiska tych delegatów. Zaproponowałem im wtedy (a byli to posłowie), by za moim podpisem podjęli dowództwo nad wojskiem. Tego nie chcieli wziąć. Trąby jerychońsko-narodowe jeszcze i teraz napadają na mnie w jakimś dzienniczku. Tytuł: «Dlaczego krwią polską zalewał się Lwów? Na marginesie II Zjazdu b. Legionistów»¹⁾, gdzie ze znanej książki, traktującej obronę Lwowa z punktu widzenia obrońców ulicy Bema, a nie z punktu widzenia Naczelnego Wodza, pomieszczone są jakieś nieznane mi sprawy z jakimś porucznikiem Eustachiewiczem²⁾, które w dodatku są zaprzysiężone.

To jest charakterystyka trąb jerychońskich! Więc niechaj piękne lwowianki i zacni lwowianie wybaczą, że byłem w tym stadium zniecierpliwienia, że na słowo Lwów chciałem pociągnąć cyngiel pistoletu. Nie mogłem znosić tego! «Cui bono», pytam, panowie, całe to łgarstwo, «cui bono», cała ta brudna kampania, która nie upiększa naszych dziejów? «Cui bono»? Jako odpowiedź posłużyć może fakt następujący. Wtedy, gdy tutaj broniono Lwowa, na pół nago, na pół boso, wtedy, gdy tutaj codziennie albo co godziny brakowało naboju, wtedy, gdy wojsko moje wyglądało, jak żebraki, w tym samym czasie istniało inne wojsko³⁾. Inne wojsko, które polskim też się zwało. Inne wojsko, ubrane w świetne mundury, mające broń poddostatkiem, uzbrojone świetnie, wedle wszelkich za-

¹⁾ Mowa o lwowskiej «Gazecie Codziennej», wydawanej w duchu narod.-demokr., która w dniach 4, 5 i 6 sierpnia 1923 r. podała przedruk z relacji por. Eustachiewicza.

²⁾ Mowa o relacji por. Bolesława Eustachiewicza o jego staraniach w sprawie przyspieszenia odsieczy Lwowowi, relacji wydrukowanej w książce Czesława Mączyńskiego p. t. «Boje lwowskie» na str. 231—246.

³⁾ Mowa o t. zw. armii Hallera.

sad nowoczesnej techniki wojennej, z mnóstwem doskonałych armat, z mnóstwem karabinów maszynowych i z żołdem, przewyższającym tysiącrotnie płace moich żołnierzy i oficerów ¹⁾. Podoficer w wojsku tym brał tyle, co u mnie pułkownik. Tworzyło się to wojsko w tym samym czasie, gdy mnie o zdradę w stosunku do Lwowa oskarżono. Stawały tam bataliony za batalionami, dywizje za dywizjami, stawały pod osłoną polityczną tychże trąb jerychońskich, tegoż rządu innego ²⁾, który gdzieś nad Sekwaną wojsko to trzymał z bronią u nogi, trzymał wojsko to inne polskie z bronią u nogi, pomimo żądań moich i błagań, by mnie, padającemu niekiedy przed siłą przemocy, pomoc dano. To wojsko stało nad Sekwaną, ale trąby jerychońskie brzmiały o zdradzie, o zdradzie Legionów, o zdradzie Polskiej Organizacji Wojskowej i o zbrodniach narodowych ich Wodza i dowódcy, niejakiego Józefa Piłsudskiego.

Mówiłem na początku odczytu o sędzie historii, o sędzie podrastających dzieci, które z trwogą nieraz badać będą, gdzie był mój ojciec, gdzie była moja matka? Te pierwsze dni Polski, te pierwsze trudy, te dni trwogi i niepokoju, dni gorączkowego miotania się każdego człowieka, niepewnego jutra, niepewnego, czy kładąc się do łóżka, wstanie z tego łóżka nazajutrz, te dni nadzwyczajnych wysiłków i nerwów, te nerwowe pomysły, te dni cudu polskiego, tworzącego Polskę własnymi nareszcie dłońmi, te dni niemocy i bezsilności są związane z waszym miastem, związane nierozzerwalnie. Przez kilka bowiem miesięcy lwia część tych bied, tych niepokojów i tych wysiłków przypadła wam i waszemu miastu. Dałem te fakty, które znam, dałem swoje postępowanie, swój nieraz przykry dla was sąd, swoje nieraz nieprzyjemne określenie, dałem je z równym spokojem, z jakim stanę przed każdym sądem w tej sprawie. Przyszły historyk fakty te badać będzie. Przyszły historyk będzie musiał myśleć, co znaczył fakt, że gdy jedni dokonali tak wielkich wysiłków dla stworzenia własnymi siłami państwa, zewsząd przez wrogów otoczonego, że gdy jedni rzucaли młodzież ochotniczą bosą, bez naboju i bez ubrania, to inni Polacy tychże obrońców o zdradę oskarżali, tymże obrońcom w twarz pluli. Co znaczy fakt posiadania w chwili niebezpieczeństwa wojennego gdzie indziej wojska polskiego, wyekwirowanego wysmienicie? I wówczas może historycy odpowiedzą na pytanie, rzucone przeze mnie: «Cui bono» tak się robi? Dla kogo tak się służy? Gdzie być może ta przyczyna? Gdzie powód tak dziwolągowego zjawiska? Nad tym zastanawiać się

¹⁾ Por. t. V, str. 70—71.

²⁾ Mowa o t. zw. Komitecie Paryskim.

nie chcę. Swoją pod tym względem hipotezę podam gdzie indziej, podam tam, gdzie «cui bono» jest bardziej wyraziste, podam ją w moim rodzinnym Wilnie. Tutaj, we Lwowie, ograniczam się do rzucenia panom tego pytania, co znaczą oszczerstwa, co znaczą trąby jerychońskie, jak wielki wpływ wywrzeć one mogą w chwili kryzysu i w chwili przełomu, jak niebezpiecznym jest wtedy ucha skłonić ku wierze trąbom jerychońskim, które niosą nie siłę, lecz słabość narodu i państwa.

Proszę państwa, kończę krótkim streszczeniem. Lwów w początkach naszego istnienia zajął bardzo wielkie i zaszczytne dla niego miejsce. Stał się on centrum myśli, życzeń, serc i uczuć polskich. Zaszczytna to rola i niejedno miasto wam tych chwil zazdrości. Lwów wytrzymał ciężką walkę. Przede wszystkim walkę z sobą, walkę z własną słabością, z własnym niedomaganiem i, zwyciężywszy własną słabość, dał moc i siłę obrońcom. Obrońców spośród siebie miał względnie niewiele — większość przybiegła skądinąd. Miasto zostało polskim, po akcie odwagi i czynu 5 pułku legionowego pod dowództwem pplk. Tokarzewskiego. Im przypisać należy fakt, że Lwów od tej chwili, gdy pułk ten wszedł do Lwowa, stał się na zawsze polskim. Czyn ten tym bardziej jest znaczny, że zrobił to wbrew bojaźniom, wbrew naciskom bezpośrednim swoich władz przełożonych, zrobił to na własną rękę i na własne ryzyko. Obrońcy Lwowa składali się z trzech nierównych części. Pierwsza — to wasze dzieci, dzieci Lwowa; druga, liczniejsza część — są to wasi rodacy z zachodniej Galicji; najliczniejsza część — są to zmobilizowani peowiaci z Królestwa Polskiego. Tak wygląda istotna historia. Państwo całe, ledwie żyjące, wykazywało w stosunku do was prawie jednolitą chęć pomocy. Osłabioną zaś pomoc została moralnie przez dziwołag historyczny, nad którym biedzić będą sobie głowy historycy, że istniały wówczas w Polsce dwa rządy: jeden w Polsce, drugi nad Sekwaną, konkurujące i zwalczające się wzajemnie za pomocą najrozmaitszych środków. Do środków tych ze strony rządu nad Sekwaną należało zatruwanie życia rządu w Polsce, pomiędzy innymi jego głównego przedstawiciela, za pomocą trąb jerychońsko-narodowo-oszczerczych. Ten fakt przejdzie przez całą pracę czteroletnią, jako fakt nieodłączny od naszego życia publicznego, od naszego życia politycznego. W okresie walk o Lwów fakt ten szczególnie jasno występuje, gdyż Lwów oznacza wielki przełom i wielki kryzys naszego państwa. Występuje tu naga moralna wartość jednych i drugich. Moralna wartość istotnej pracy i moralna wartość trąb jerychońskich, do których zwracam jeszcze raz swoje pytanie: — «Cui bono» w owe czasy to robiono?